

4 w 2021 (296)

Czarnohora – góry puste i pełne życia

Data publikacji: 22.01.2021 / Autor: Mateusz Chmielewski

Lubię zimowe spacery. Dają mi okazję do doświadczenia jednego z najlepszych, najbardziej sielskich uczuć. Tego, gdy czujesz i słyszysz skrzypiący pod butami śnieg. To jeden z dwóch moich ulubionych dźwięków, melodii, które w jakiś tajemny sposób sprawiają, że czuję, że żyję. Drugą z nich jest ten dźwięk, który przeszywa uszy, gdy kaskada ulewnego deszczu spada na dach namiotu. Nic nie działa tak na sen. Rytmiczny rumor wypełnia myśli i zdawać mogłoby się, że nie ma na całej ziemi innych dźwięków poza nim. I jest jeszcze zmęczenie, które przy tej kołysance wyłącza kolejne funkcje ciała i świadomości, bo ciało walczy o prawo do regeneracji.

Pamiętam tylko dźwięk swojego oddechu, ciężko wydychane i wciągane powietrze przy każdym stawianym kroku i odgłos butów uderzających o grunt na wydeptanej ścieżce. Nie wiem, czy tylko ja dyszałem zmęczony, czy robili to też inni. Nawet jeśli, wszystko inne zagłuszał wyjący posępnie wiatr. Powoli, coraz bliżej nas, rozlegały się grzmoty, a niebo na wschodzie stawało się ciemniejsze.

Stawało się jasne, że burza nas nie ominie, a jeszcze jaśniejsze, że nie dotrzemy na czas w miejsce, w którym planowaliśmy rozbić obóz. – *Dobra, musimy odbić na zachód i rozbić namioty jak najniżej względem grani!* – Zawołał Paweł, gdy przystanęliśmy, na tyle głośno, by przebić się przez dzielącą nas tubę wiatru. – *Ej, ale tu nie ma żadnej ścieżki, mamy się przedzierać przez kosodrzewinę?* – *A masz inny pomysł?* – nie miał.

Ruszyliśmy w dół, lecz nie minęło 15 minut, gdy runęły na nas strumienie potoku lejące się z nieba i małe, acz boleśnie nas doświadczające, kulki gradu. Szliśmy mocując się z wiatrem, własnym zmęczeniem i zagradzającymi co rusz drogę konarami kosodrzewiny, której mokre ostre igły bezlitośnie smagały nasze twarze. Na nic zdawały się peleryny przeciwdeszczowe, bowiem równie dobrze moglibyśmy wskoczyć w nich do górskiego strumienia. Gdy w końcu trafiliśmy na małą polankę, na tyle płaską, że rozbić namiotów nie skazywało nas na stałą walkę z grawitacją, od razu wykorzystaliśmy okazję.

Nie było późno, ale burzowe chmury sprawiły, że zapanowała ciemność. W namiocie weszliśmy do śpiworów i przez chwilę wyjadaliśmy okruchy czekolady wklejone w

pęk grubych skarpet, do których przyłgnęły po rozsypaniu się w plecaku jednego z nas. Milka dark muss. Wycofali tę czekoladę ze sprzedaży parę lat później, a szkoda, bo to była najlepsza czekolada świata. Zaraz potem mimowolnie wyłączyliśmy się. Zasnęliśmy sponiewierani drogą i burzą i utuleni do snu namiotem grającym tak, jakby miał nie dotrzeć świtu.

379 dni wcześniej staliśmy w bardzo podobnym gronie na szczycie Tarnicy. Słońce było już nisko i zaraz musieliśmy ruszać w dalszą drogę, żeby przed zmierzchem zejść na dół. Jeszcze tylko przez chwilę siedzieliśmy z mapą i kompasem, orientując widoczne z najwyższego szczytu pasma góry. – *To jest Halicz?* – *Nie, Halicz to ten w lewo, to jest Rozsypaniec.* – poprawił Bartka Kuba.

– *A widzicie ten samotny szczyt wysoki tam daleko?* – *Noo – To jest Pikuj, najwyższy szczyt Bieszczad.* – zagadał nas Paweł – *Ej, jak to, a nie Tarnica jest najwyższa w Bieszczadach?* – zapytał któryś z nas lekko zaskoczony, a być może nawet zawiedziony, bo ta informacja umniejszała naszej najświeższej zdobyczy. – *Nooo, i tak i nie. Tarnica to najwyższy szczyt Bieszczad polskich, ale Bieszczady nie kończą się na granicy Polski. Łuk Karpat biegnie przez Ukrainę aż do granicy z Rumunią i dalej, ale to na Ukrainie Karpaty są najdziksze i najbardziej pierwotne. W zasadzie możliwe, że to nawet najbardziej dzikie góry w Europie. Bieszczady Wschodnie z Pikujem, Gorgany, a w końcu Czarnohora...*

Nasza drużyna istniała dopiero od 5 dni, nie miała jeszcze nazwy. Byliśmy najstarszym kawałkiem drużyny harcerskiej, której kadra zaproponowała obóz wędrowny, a ten, zupełnie niespodziewanie dla nas, stał się okazją do założenia nowej drużyny. Nikt prócz Pawła nie był de facto wędrownikiem, ani nawet nie bardzo wiedział, o co w tym całym wędrownictwie chodzi. Paweł jednak posiadał niebywały talent do inspirowania, podsuwania pod nos strzępów informacji, z których w parę chwil my sami tkaliśmy własne plany i marzenia. A najdziksze góry w Europie? To brzmiało dobrze. Na tyle dobrze, że już stojąc na szczycie Tarnicy wiedzieliśmy, że za rok, swój pierwszy rok działania, wędrować będziemy właśnie tam.

Kipling pisał, że ktoś kto choć raz poczuje zew wschodu, nigdy już nie poczuje niczego innego. A my poczuliśmy zew wschodu. Nawet nie Bliskiego Wschodu, ale tego NAJBLIŻSZEGO i wiedzieliśmy, że to w tym kierunku będziemy się orientować rozglądając się na wyczyntem i marzeniami.

Ukraina do dziś dla wielu Polaków jest niczym Dzikie Zachód: pierwotna i nieco tajemnicza ziemia, kraj może i podobny do naszego pod pewnymi względami, ale

pod innymi dziwny i egzotyczny. Już jesienią zaczęliśmy przygotowania do kolejnego obozu. Stanęliśmy przed decyzją o wyborze dokładnego celu naszej wyprawy. Opcje mieliśmy dwie, a osoby odpowiedzialne za research miały przedstawić wady i zalety każdej z nich.

Gorgany – góry nieco niższe (około 1800 m n.p.m.), ale dużo dziksze. Nie znajduje się w nich ani jedno schronisko, brak też większych miejscowości. Nawet w sezonie brakuje w nich turystów.

Czarnohora – góry wyższe (około 2000 m n.p.m.), znajduje się w nich Howerla, najwyższy szczyt całej Ukrainy. Z tego powodu przyciągają więcej turystów, znajduje się w nich skromna infrastruktura turystyczna. Ciekawostką jest to, że na Popie Iwanie są ruiny starego polskiego obserwatorium, które przed wojną było najwyżej położonym stale zamieszkanym miejscem w kraju.

Wybór nie był dla nas łatwy, bo kusiła nas dzikość Gorgan i odstraszała turyści w Czarnohorze. Z drugiej strony obawialiśmy się nieco izolacji od świata, która czeka nas w Gorganach. Przemawiał do nas argument o łatwiejszym reagowaniu na sytuację ekstremalną – możliwość działań ratowników górskich, dostęp do szpitala, domy miejscowych w dolinach. Na Ukrainie, w górach i strefie przygranicznej, musieliśmy się liczyć z dużymi ograniczeniami sieci GSM, więc to zdolność do szukania pomocy u miejscowych i szczątkowa infrastruktura miały być minimalną gwarancją naszego bezpieczeństwa. Decyzja zapadła i wyruszyć mieliśmy w Czarnohorę.

Obóz chcieliśmy przygotować jako wytwór dobrej wędrowniczej roboty, w której każdy członek drużyny jest pełnoprawnym współorganizatorem przedsięwzięcia. Wszyscy mieliśmy nauczyć się czytać cyrylicę, prócz tego podzieliliśmy się na grupy zadaniowe:

1. Kwatermistrzowską – w której odpowiedzialności leżało przygotowanie potrzebnego sprzętu obozowego i listy ekwipunku osobistego.
2. Transportową – jej członkowie mieli zorganizować wszystkie przejazdy, umożliwiając nam sprawną podróż na pogranicze ukraińsko-rumuńskie.
3. Programową – która odpowiedzialna była za przygotowanie programu na część wieczorów oraz opracowanie na trasie podróży wątków krajoznawczych do przekazania reszcie drużyny. Jej członkowie mieli też opracować słowniczek i wędrownicze rozmówki, które później opanować mieli inni członkowie drużyny.
4. Przewodnikowską – oni mieli zdobyć mapy topograficzne i we współpracy z grupą programową przygotować trasę właściwej wędrówki.
5. Kuchmistrzowską – dzięki której mieliśmy mieć co jeść. Tworzyła jadłospis, robiła zakupy i czuwała nad kwestiami żywienia.
6. Finansowo formalna – spinała pracę każdej z grup w preliminarz i zajmowała

się rozliczeniem wyprawy, a poza tym odpowiadała za zgłoszenie obozu w Związku i kuratorium, ubezpieczenie i inne kwestie prawne, o których trzeba było pamiętać.

Przez parę miesięcy każda z grup pracowała lżej lub ciężiej, nie raz wywalając się na twarz przez niedostatki zaangażowania, psychologię, problemy w komunikacji, prokrastynację, słowem to wszystko, co czeka nastoletnich ludzi, którzy pierwszy raz w życiu przygotowują „poważny” projekt i biorą na barki realną odpowiedzialność za jego powodzenie.

Ale zrobiliśmy to. Wszyscy jadący na obóz nauczyli się z mniejszą lub większą wprawą czytać i dogadywać się po ukraińsku, każda z grup w przynajmniej zadowalającym stopniu wywiązała się z swojej pracy i wieczorem 31 lipca zapakowaliśmy na dworcu autobusowym toboły do luku drogowego wehikułu, którym pognać mieliśmy do Lwowa, a później dalej. Do Worochty, dużej wsi na północ od głównego pasma Czarnohory.

Pierwszego dnia wędrowki spotkaliśmy na połoninie grupę Polaków – harcerzy z Przemyśla. Pogadaliśmy chwilę i zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie. Chłopaki szli do Worochty, bo właśnie kończyli swoją tygodniową wędrowkę. Nie nastrajało nas to bardzo optymistycznie, skoro w kilka godzin po wyjściu na szlak spotykamy zorganizowaną grupę. Nie wiedzieliśmy wtedy jednak, że przez kolejne 6 dni na szlaku nie spotkamy już nikogo...

Cieężko jest precyzyjnie wyjaśnić naturę Czarnohory komuś, kto sam w niej nie był. Najbardziej utartą kliszą językową będą tu chyba „takie większe Bieszczady”. Słowa te oddają jednak to, czym jest Czarnohora w bardzo dużym uproszczeniu.

Samo ukształtowanie gór jest rzeczywiście bardzo bieszczadzkie. Szczyty są zaokrąglone, a grzbiety w większości opadają dosyć delikatnie (choć są oczywiście wyjątki). Górne partie stanowią malownicze połoniny, dużo rzadziej gołoborza. Wysokość szczytów głównego pasma nasuwa jednak skojarzenie z Tatrami Zachodnimi. Doliny wcinają się nisko, przez co wybitność gór jest dość duża. Podejście pod Popa Iwana to ok. 1200 m przewyższenia.

Ale na klimat gór składa się dużo więcej niż sam ich wygląd. Czarnohora to najwyższe i najbardziej zagospodarowane góry Ukrainy, nieporównywalnie bardziej uczęszczane niż Gorgany, czy Bieszczady wschodnie. Mimo to, są o wiele dziksze niż jakiegokolwiek góry polskie. Wędrując poza głównym pasmem w środku sezonu, można nie spotkać żywej duszy przez parę dni. Dosyć paradoksalnie Czarnohora jest pełna życia! Na szczytach niższych gór pasą się wolno konie, na wyższych

owce, w dolinach krowy. Częściej niż turystę spotykaliśmy Hucułów, wypasających swoje trzody.

W czasie I Wojny Światowej przebiegał tu front, więc w wielu miejscach można znaleźć bezimiennie groby, okopy, zardzewiałe łuski.

Błyskawicznie uderzyła nas skala, kiedy na jako pierwszy szczyt zaczęliśmy podchodzić pod pipant (pipant to zwyczajowa nazwa szczytu nieposiadającego nazwy – MCh) przekraczający wysokością 1000 metrów. W Polskiej części Beskidów (a to do tej grupy górskiej wciąż zalicza się Czarnohora) niewiele jest nienazwanych szczytów nawet dużo niższych, tu na mapie naliczyć można sporo bezimiennych szczytów wyższych od Tarnicy.

Dość celowo obraliśmy trasę stopniującą wrażenia i wykorzystującą czas, który mogliśmy przeznaczyć na wędrówkę. Przez pierwsze dni mieliśmy iść grzbietem Kukuła, a później Kostrycza i Kostrzycy, na których otwarta przestrzeń i malownicza połonina pozwalały oswoić się z widokiem wyższych gór. Z całego grzbietu doskonale widać biegnący równolegle główny grzbiet ciągnący się między Popem Iwanem, a Howerlą.

Na Kukule po raz pierwszy zaskoczył nas żywy duch Czarnohory, kiedy po przebudzeniu i wyjściu z namiotów, pierwszego ranka w górach, zobaczyliśmy pasące się w sąsiedztwie obozowiska konie. One były u siebie. Nikt ich nie pilnował, nie wytyczał granic pastwiska, nie było w pobliżu żadnego pasterza. Tylko one, połoniny, wiatr i my.



Nim zaczęliśmy zbliżać się do głównego pasma, przejść mieliśmy jeszcze Połoniny Hryniawskie, od których odgradzała nas dolina z wioską. Kraśnik miał być pierwszym po trzech dniach kontaktem z ludźmi i okazją do uzupełnienia zapasów. O Kraśniku wspomnieć warto z jednej choćby przyczyny – w nim poczuliśmy jak proste życie Hucułów, ich tradycja i kultura, przeplata się z trwającym tu wciąż socrealizmem. Centralny punkt wioski to posąg czerwonoarmisty, o proporcjach ciała takich, że można by pomylić go z supermanem. Z pepeszą w dłoni, radziecki

żołnierz trzyma na ramieniu małe dziecko. Pomnik upamiętnia wojnę i okupację trwającą od 1941 roku do 1945, zakończoną dzięki bohaterom z Armii Czerwonej. Co warto wspomnieć, obwód iwanofrankowski, pokrywa się obszarem z dawnym województwem stanisławowskim, a zatem obejmuje teren dawnej II RP. Czy między 1939, a 1941 rokiem nie trwała na tych polskich ziemiach wojna i okupacja? Wygląda na to, że nie. Podobnych śladów dawnej, trudnej przeszłości w Czarnohorze znajduje się o wiele więcej, zarówno tych nawiązujących do przedwojnia w granicach Polski, jak i kolejnych 50 lat jako część republiki radzieckiej... Wspomniana już wcześniej Worochta zwana była swego czasu drugim Zakopanem i stanowiła zimową stolicę regionu. Na parę lat przed Wielką Krokwią, powstała w niej skocznia narciarska. W sąsiedztwie tego miasteczka, zimowej stolicy regionu, obozowali w latach '30 warszawscy harcerze. Później, w sylwestrową noc 1944 roku, UPA zamordowała tu w parę godzin 72 Polaków. Ci, którzy przeżyli dzięki pomocy miejscowych Hucułów, obawiając się o swoje życie ewakuowali się z Worochty do Stanisławowa.



Kończąc te przymiarki do głównego pasma, wspomnieć muszę, że przez 6 dni w górach, prócz turystów, nie spotkaliśmy także ani jednego oznaczenia szlaku, ani jednego drogowskiego, ani żadnego innego śladu po turystycznej infrastrukturze. Spotykaliśmy zamiast tego wiele zwierząt, zapomnianych grobów i doświadczyliśmy naprawdę pięknych widoków. Czarnohora to przez brak oznakowanych szlaków, a zarazem wiele przecinających grzbiety pasterskich ścieżek, góry orientacyjnie trudne, wymagające dobrych topograficznych map i dobrych umiejętności terenoznawczych. My posługiwaliśmy się trzema różnymi wydaniem map: polską mapą turystyczną Ruthenus, ukraińską mapą turystyczną (dość kiepską, ale posiadającą aktualne lokalne nazwy) i reprintami przedwojennych map WIG – wydawnictwa Rewasz. Ta ostatnia chociaż w celach turystycznych mało się przydaje, to topograficznie nie ma sobie równych i najwierniej oddaje ukształtowanie terenu. Posiłowaliśmy się też przewodnikiem wydawnictwa Bezdroża. Mimo wszystko zaliczyliśmy kilka spektakularnych wtop. Ze dwa razy idąc bezdrożem zorientowaliśmy się na zły boczny grzbiet, w wyniku czego imprezę

kończyliśmy w jarze brodząc w wartkim górskim strumieniu.

Pierwsze oznakowanie szlaku zobaczyliśmy w drodze na Stoh (Stóg), czyli szczyt graniczny między Czarnohorą a Górami Czywczyńskimi, na którym przed wojną znajdował się trójstyk granic Polski, Rumunii i Czechosłowacji. Ku naszemu zaskoczeniu i lekkiemu rozbawieniu, odnalezione drogowskazy były puste. Dziś przy harcerskich ogniskach zawsze wspominam je, gdy śpiewają, że „zamazanych drogowskazów nie odczytam już”.



Główne pasmo Czarnohory biegnie z południa na północ i łączy grzbietem dwa najwyższe szczyty, pomiędzy którymi piętrzy się kilka gór, w tym dwa kolejne dwutysięczniki – Brebenieskul i Rebra. Za Howerlą grzbiet łamie się lekko w stronę zachodu i kończy na Pietrosie, piątym i ostatnim z ukraińskich szczytów 2000+. Przejście całego głównego pasma możliwe jest w ciągu jednego dnia, o ile akceptuje się solidną fizyczną wyrypę. Biwakowaliśmy przed szczytem Popa Iwana, w około 2/3 podejścia, więc na przełęcz za szczytem Howerli mieliśmy około 30 GOTów.

Pop Iwan to z pewnością najbardziej urokliwy szczyt na jakim przyszło mi stać. Ruiny Białego Słonia górują nad szczytem majestatycznie przypominając o związanej z nim historii. Mury pozbawione są jednak w większości dachu i sypią się, ale w razie potrzeby wciąż mogą stanowić schronienie. Kilka lat później Białym Słoniem zaopiekowano się i doprowadzono do jego remontu. Budynek zyskał dach i chociaż do świetności mu daleko, to nie brakuje ludzi, którym zależy, by niszczycielskie siły przyrody nie strąciły go z wierzchołka góry.



Dopiero za Popem Iwanem zaczęliśmy widywać innych turystów. Trasie jednak daleko było do szlaku na Giewont, czy choćby Połoniny Wetlińskiej. Przy stosunkowo ładnej pogodzie, w środku sezonu, mijaliśmy innych wędrowców co około pół godziny. Howerła oddalona jest od Popa Iwana o 18 km, a przewyższenia są raczej niewielkie. Większość dnia upłynęła nam bez komplikacji, ale już podchodząc pod Breskuł, ostatni szczyt przed Howerłą, rozpoczęliśmy wyścig z czasem. Niebo na horyzoncie ciemniało i tak jak cały dzień przez błękit nieba przetaczały się jedynie białe pogodne obłoki, tak późnym popołudniem Czarnohora postanowiła

przypomnieć nam, że pogodzie w górach nie wolno bezkrytycznie ufać.

W Czarnohorze przeżyliśmy już kilka ulew i deszczowych dni, ale żadna nie była zapowiadana przez donośne grzmoty i błyski srebrnych nici przecinających niebo. Wcześniej również nie byliśmy ani razu tak wysoko. Przyspieszyliśmy kroku...

Obudziłem się. Burza skończyła się, choć mżył nadal deszcz. Leżałem w bezruchu udając, że śpię, bo dzięki temu mogłem odwlec wyjście z namiotu na deszcz i mieć choć cień szansy, że szybko przestanie padać. Nic z tego. Potem okazało się, że kolejni budzący się kompani robili dokładnie to samo. Rozbity na szybko obóz miał swoje wady. W drugim namiocie Michał i Bartek stoczyli się w bok, wciskając Pawła, pod którym zebrała się kałuża, w bok namiotu. Nasz namiot podmókł od strony przedsionka. Któryś z nas przewrócił wchodząc do namiotu wieczorem jeden z butów, który przez całą noc do połowy wypełnił się wodą. Z namiotów wypęzaliśmy jak zakażone wścieklizną lisy, trapione przez światłowstręt i wodowstręt, wygrzebują się z nory. Światła jednak za dużo nie było. Wszystko wokół spowijała biała mleczna mgła. Byliśmy w chmurze.

Pokonaliśmy karkołomną trasę przez kosodrzewinę, tym razem w przeciwnym kierunku, a gdy doszliśmy do szlaku już pół godziny później staliśmy na dachu Ukrainy. Tu faktycznie nie byliśmy sami – widać było, że Howerla to najbardziej popularny z szczytów. Wiatr nawet na ułamek chwil nie przewiał chmur, toteż nie doświadczyliśmy zapierających dech w piersiach widoków. Siedziałem na plecaku, mokry, zmęczony i niewyspany, rozczarowany tym, że z każdej strony otacza mnie jasnoszara bezkresna ściana. Z przeciwnej strony niż my, można na Howerlę wejść najkrótszym z dostępnych szlaków, u podnóża którego znajduje się turbaza, czyli tutejsze schronisko, czy też hotel górski. Dzięki temu mimo stosunkowo wczesnej godziny co i rusz nadciągali nowi zdobywcy szczytu. Zacząłem więc bacznie obserwować wchodzących z północnej strony turystów, bo co innego mogłem robić, a turyści faktycznie byli zaskakujący. Każda wchodząca grupa rozsiadała się i wyciągała z plecaka flaszkę. Nieliczni pili wódkę, większość szampana. Najdziwniejsze, że niekoniecznie byli to ludzie w typie znanych z niektórych tatrzańskich szlaków „januszy” i „grażyn”, którzy w klapkach idą na Giewont. Sprawiali wrażenie dobrze przygotowanych i sprawnych, ale jednak, zupełnie bez żenady podchodzili do picia alkoholu w górach w trakcie wędrówki... Szybko zaobserwowaliśmy, że jest to szerszy zwyczaj. Na szczycie stoi obelisk (zdewastowany jak się masz), a otacza go półokrągła metalowa barierka. Z niej na sznurkach zwisa masa butelek po szampanie i faktycznie, niektórzy z turystów, którzy na szczycie byli razem z nami po opróżnieniu szkła, wieszali butelkę na tej „urokliwej” ekspozycji. Zrobiliśmy sobie zdjęcie i poszliśmy. Źle czuliśmy się z

otaczającą nas prząsnością. Szliśmy w dół wymieniając się myślami, a jedną wspólną było rozczarowanie.



Pietros od Howerli oddzielony jest dość głęboką przełęczą, której najniższy punkt położony jest bardzo blisko jego szczytu. Ostatni odcinek to 600 metrów w poziomie i aż 400 w pionie, co czyni go najostrzejszym podejściem w całym paśmie. Napotkani na przełęczy turyści z klubu górskiego w Rzeszowie zapowiadali, że idąc szlakiem w tym kierunku „obsramy się na miętowo”. Niezależnie, czy przestrogę traktowali dosłownie, czy metaforycznie nie mieli racji. Z plecakami wyprawowymi ważącymi po często 20kg wypuliliśmy płuca, ale to tyle. Niemniej, w głowach usłyszeliśmy szydrczy chichot, bo po wejściu na szczyt ujrzeliśmy... Psa, a po chwili też jego pana – beztroskiego Hucuła pilnującego owiec.



Schodząc z Pietrosa opuściliśmy też zarazem obwód iwanofrankowski. Dotarliśmy na Zakarpacie, region Ukrainy, w którym ludność huculska i rusińska poza miastami stanowi większość mieszkańców. Po tej stronie gór ponownie nie spotykaliśmy już innych turystów, ale za to częściej miejscowych, którzy za każdym razem zaskakiwali nas swoją dobroduszością i nastawieniem. W Kwasach spaliśmy na podwórku mężczyzny, który prosił nas, żebyśmy mówili do niego po polsku, bo jak twierdził, kiedyś był w Czechach i w miarę rozumiał po czesku. Chcieliśmy tylko

rozbić namioty na jego podwórku i dostać trochę wrzątku, ale zaprosił nas do wzięcia prysznic (czy to była sugestia?) i poczęstował kolacją. W ogóle nie wiedzieliśmy co do nas mówi, bo huculska gwara znacznie odbiega od ukraińskich zwrotów, których się nauczyliśmy, a on wbrew deklaracjom raczej też nas nie rozumiał.

Ostatnie dwa dni wędrówki spędzić mieliśmy w masywie Świdowca, niższym paśmie graniczącym z Czarnohorą od zachodu. Nie spotkaliśmy już nikogo. Bliźnica, jest niższa od czarnohorskich szczytów, ale bardziej strzelista, dzięki czemu rozciąga się z niej piękny widok na dziesiątki kilometrów bezkresnych połonin. To zielone morze łagodnych wzniesień, tak delikatnych, że można zapomnieć, że każdy jeden przeniesiony do dowolnego pasma Beskidów polskich dołączył by z miejsca do korony jej gór. Pogoda postanowiła zrewanżować się za manianę, którą odstawiła na Howerli. Po niebie toczyły się tylko puchate obłoki, a palące słońce w połączeniu z górskim wiatrem przyjemnie ogrzewało nasze ciała. Z Świdowca zesliśmy do Jasini, skąd pociągiem odjechaliśmy do Iwano-Frankowska.



Gdy z perspektywy czasu myślę o tej wyprawie, nasuwa mi się myśl, że nie tam, gdzie ustawiają się kolejki, czeka prawdziwa przygoda. Tak, jak wielu czołowych himalaistów krytykuje zepsuty klimat Everestu, a wytrawni polscy górolazi raczej omijają najpopularniejsze tatrzańskie szlaki, tak my z pamięci niemal całkowicie wyparliśmy Howerlę, która przecież była naszym głównym celem. Okazało się, że to rozgrzewka na niższych szczytach i żeglowanie po zielonych falach Świdowca dało nam nieskrępowaną wolność i okazję do obcowania z tętniącym życiem półdzikimi traktami. Połoniny z stadami koni, jary zalane wartkimi potokami, bezimienne groby ofiar wojny, serdeczni mieszkańcy, wisząca w powietrzu historia i setki przecinających górskie grzbiety ścieżek prowadzących na koniec zamieszkanego świata przed strzeżoną granicą.



Zaznaczoną na mapie trasie pokonaliśmy w ciągu niepełnych 12 dni, a na Ukrainie spędziliśmy ich łącznie 14. Opisany obóz odbył się w sierpniu 2010 roku i na tamten czas udało nam się zamknąć go w koszcie 650 zł od osoby. Była to dla nas pierwsza okazja do rozkochania się w różnorodności gór, czasem bardzo różnych od tych, które odwiedzić możemy w naszym kraju. Nie chciałem pisać o wyprawach, których istotną część opisałem już w [Trzech Gawędach o Duchu Gór](#), dlatego wybór padł na Ukrainę. Ona stanowiła jedynie pierwszy krok do dalszych ambitnych wyzwań i związanej z rozwojem turystyki górskiej służby. Chcieliśmy wrócić w te strony w roku 2014, ale po wybuchu wojny domowej na Ukrainie wiedzieliśmy, że część członków naszej drużyny nie mogłaby w tym obozie wziąć udziału, niezależnie od tego jak daleko od strefy walk nie leżałoby Zakarpacie. Gdzieś w sercu czuję jednak, że to tylko kwestia czasu i jestem spokojny, że w ukraińskie Beskidy jeszcze zawitam.

fot. ze zbiorów autora

Mateusz Chmielewski

Harc mistrz, mąż harcmistrzyni. Był szczepowym, przewodniczącym rady chorągwi i członkiem Rady Naczelnej ZHP, ale przede wszystkim przez prawie 12 lat prowadził drużynę – najpierw harcerską, później wędrowniczą. Pragnie Żoliborza od morza do morza.